№ 40. Warszawa, dnia (23 Września) 6 Października 1900 roku. Rok XLII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:	Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1	kwartalnie . . rs. 1.25
Za odnoszenie do domu	półrocznie . . „ 2.50
kop. 10.	rocznie . . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie: Kwartalnie flor. 1.80. Na prowincyi flor. 2.20. W Poznaniu kwartalnie mr. 3, na prowincyi mr. 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60, lub walutą zagraniczną podług kursu.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Agencya dzienników i inseratów St. Sokołowskiego Pasaż Hausmana l. 9: w Krakowie Księgarnia S. A. Krzyżanowskiego. Agencya główna na Niemcy Księgarnia Świętego Wojciecha w Poznaniu.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.—Telefon 106.

SIENKIEWICZ.*)

przez Józefata Nowińskiego.

Pragnąłbym napisać szkic krytyczny o żywocie twórczości i sławy Sienkiewicza, choć wiem, że każda z dwóch tych bohaterek godną byłaby wielkiego poematu.

Będę się starał określić charakter jego twórczości w jej harmonii wewnętrznej przez określenie stosunku jej do ideałów, uczuć i życia ludzkości i naszego społeczeństwa, nie zaś przez porównywanie z innymi mocarzami twórczości.

Nie dałbym wcale dowodu odwagi cywilnej, zapewniając, że w pracy tej nie będę się rachował z wrażliwością Sienkiewicza na krytykę, z jego na nią reagowaniem — albowiem i jedna i drugie równa się zeru. Dowód tej odwagi znajdzie jednak czytelnik w innem zapewnieniu: nie będę się rachował z własnemi poprzednio kiedykolwiekbądź wygłoszonemi o dziełach Sienkiewicza zdaniami.

I.

Nie czas jeszcze na stosowanie metody Sainte-Beuve'oskiej do Sienkiewicza — oby żył wiecznie! Wolno jednak zawsze w dziełach pisarza dopatrywać się duszy *ich*, duszy, co je ożywia; w danym zaś wypadku to więcej, niż wystarcza; takie one przezroczyste tą przezroczystością, na którą składają się — bezpośredniość, szczerość i prostota.

Zdaje mi się, że duszę tę widzę całą dziś dopiero, po odczytaniu odrazu w porządku chronologicznym „pism" Sienkiewicza, jako rozdziałów wielkiego poematu, gdzie ona jest bohaterką. Czytać bowiem dzieła pisarza z przerwami w ciągu lat całych, jestto oglądać każdą z osobna część posągu bohatera, tak jak względem całej powieści czytanie urywkami jest tem, czem patrzenie na kawałki pociętego obrazu.

Studyując dzieła poetów, nigdy nie umiałem się wstrzymać od wyobrażania sobie, jak wyglądałby sam twórca w sytuacyach swoich bohaterów i w różnych czasach i w różnych sferach. Dzieło bezdarne nic nie mówi o autorze, ale za rzetelnie natchnionem stoi dla oka zachwyconego sama dusza *twórcza* artysty, niby za pryzmatem, co nie tai, jak załamują się w nim promienie. To też niekiedy najnamiętniejsze słowa miłości zdradzają duszę czystą i marzycielską, a w najidealniejszych drży zmysłowość tłumiona. Tu rozpalające słowa bohaterskie nagle ci nasuwają pytanie, czy autor pierwszyby nie rzucił tarczy na polu bitwy, innego zaś skromna prostota kryje i odsłania zarazem męztwo niezłomne. Tu w zaciekaniach się filozoficzno-psychologicznych myśli czujemy ciasną praktyczność serca, tam w pessymistycznej wzgardzie dla życia czuć przerażoną myśl o konieczności śmierci, ówdzie w zimnej i cynicznej wzgardzie dla miłości płonie namiętne marzenie o wiecznem kochaniu.

Czasem znów się słyszy w brzmieniu słów ważność dukatową czynu. Wtedy przypomina się myśl Carlyle'a, że bohaterstwo właściwie jest jedno, tylko się różnie przejawia. Oto wielki prorok, gdyby zbawienie ludu tego wymagało, mógłby się okazać wielkim wodzem lub królem, a genialny reformator, nie mając wobec ducha czasu lub przeszkód okoliczności żywiołowych, nic do reformowania, mógłby wyśpiewać pieśń, którąby pchała przyszłe bohatery, pomimo ich świadomości, do wielkich czynów.

Otóż co do Sienkiewicza, to zamknąwszy książkę i otarłszy łzy zachwytu czy wzruszenia, wierzę bezwzględnie, że w tej lub owej sytuacyi zrobiłby on to samo, co najwyraźniejszy i najsympatyczniejszy z jego bohaterów, jeżeli nie więcej. Ta wiara nie ze złudzenia artystycznego płynie, ale za to czyni je niemal rzeczywistością. To też kiedy myślę o jego duszy, to darmo zdaję sobie sprawę z ogromnej sławy jego w „mieście i świecie," z wpływu niesłychanego, jaki dzieła jego wywierają — nie mogę się pozbyć uczucia żalu, że tylko takie ciasne pole działania los jej przeznaczył.

Taka świadomość siebie samego, swej siły, taka wyobraźnia obok takiej znajomości zarówno pojedynczych jak i zbiorowych jednostek ludzkich, takie skupienie duchowe obok takiej siły woli, źródło niechybne panowania nad ludźmi i wypadkami — takie rozumienie swoich obowiązków — takie widzenie celów obok takiej niezłomności w dążeniu do nich— wszystko to, wyczute w działalności jego pisarskiej, każe wierzyć, że niema przeznaczeń, któreby dla niego były za wielkie.

Nie pierwszy to raz wypowiadam zdanie o tem, dlaczego pisze on o walkach bohaterskich. Gdyby żył w czasach, które opisuje, byłby wielkim rycerzem, wielkim wodzem, wielkim mężem stanu, któryby historyę i poemat robił, zamiast je pisać! Ani wątpię, że w jego piersi mieszka duma ogromna, ale nie za wielka, bo nie przewyższająca nietylko siły duchowej i poczucia obywatelskiego, lecz oczywiście nawet zasługi.

Wogóle powiedziałbym, że wszystko, co jest w Sienkiewiczu siłą, kazało mu zawsze kochać kraj i społeczeństwo swoje ponad formułkami partyi, niezależnie od granic czasu. I może to nie zasługa jego, tylko przeznaczenie!

---

*) Z upoważnienia autora i wydawców drukujemy wyjątek z obszerniejszej pracy krytycznej, która niebawem ukaże się w wydaniu książkowem.
(*Przyp. Red.*).

II.

Amerykańska epoka w życiu Sienkiewicza jest szeregiem ogromnych ilustracyi tej prawdy. Dowcip iskrzący się i wytworny, po hejnowsku chłoszcze wady swego społeczeństwa z obczyzny tylko przez pierwsze rozdziały owej pierwszej wycieczki na zachód. Potem okres namiętnego spostrzegania i rozmyślania nad swojemi spostrzeżeniami zastępuje myśl niemal nieustanna, a życzliwa i gorąca o swoim kraju — myśl, która powoli wypełnia całe prawie życie wewnętrzne podróżnika o „trochę cygańskiej duszy i nigdzie nie mogącego zagrzać miejsca."

Mówiąc nawiasem, ta „cygańskość" jest poprostu słuchaniem głosu pewnych sił duszy, domagających się, pomimo świadomości nawet, wejścia w życie. To odwaga szuka niebezpieczeństw i panowania nad niemi—to zdolność do odczuwania wrażeń potężnie pięknych i wielkich, rwie się z nad stojącej wody pospolitości do jakichś nieznanych uroków egzotycznych. Usłyszawszy wśród cudnej Anaheimskiej doliny, gdzie go najpiękniejsze, choć piegowate senority skutecznie uczyły po hiszpańsku, że hen, daleko ku górom, zamykającym horyzont, są „indyanie, lwy górskie, niedźwiedzie i Bóg wie nie co" — pisze on natychmiast w księdze zamiarów: „pojadę."

„Zawsze marzyłem o tem — pisze Sienkiewicz — abym kiedykolwiek w życiu mógł ujrzeć owe kraje bezludne jeszcze, w których potężne siły natury panują absolutnie. Spojrzeć oczyma w oczy naturze zupełnie pierwotnej, wedrzeć się w głębie dziewiczych lasów i stepów..." Otóż wśród nich, pod wichrem wrażeń potężnych dusza jego się skupia tak, jak myśl dojrzewała w miastach wobec nowych zupełnie, a imponujących form życia społecznego. Moc własnych skrzydeł i upojenie bezmiarem przekonywa go, że naprawdę jest orłem, nie zaś kurem, któremu Bóg wie dlaczego się marzyły górne sfery. Czuje on tam „skrzydła u ramion, i żal mu się robi młodych lat marnowanych na bruku miejskim, w *małem* kółku zajęć, spraw, a często wśród *małych* ludzi."

Człowiek i artysta zmężniał, a zmężniałe serce i wyobraźnię wnet zwrócił do rodzinnego kraju, jakby w myśl owego: „widzę i opisuję." I oto odrywa się on coraz częściej nietylko od notowania myśli i spostrzeżeń o nowym świecie, ale nawet od wchłaniania wrażeń—„by przenosić duszę utęsknioną" do rodzinnych pól, wiosek i dworów. „Latarnik" jest wspomnieniem właśnie tej tęsknoty zaoceanowej.

W Anaheimskiej dolinie pisze Sienkiewicz „Hanię i Selima," za oceanem też rodzą się „Szkice węglem," słane do kraju z myślą o „echu, choć słabem, jakie utwór ten w swoim czasie obudzić może." Obudził głośniejsze pewno, niż się autor spodziewał. Publiczność porwała zarówno werwa humoru, przenikająca tok początkowy opowiadania, jak i prawda postaci i sfery, jak i pełen prostoty w wyrazach a groźny w treści koniec tragiczny, jak i gorące współczucie autora dla ciemnoty, biedy i nieszczęścia chłopa, i to takiego w każdym calu polskiego chłopa, dobrego i do pracy, i do wypitki, i do wybitki.

Ale w dodatku obóz postępowy został zdobyty naturalnym sensem moralnym opowiadania: oto ginie uczciwa i pracowita rodzina z powodu najbłahszej intrygi nędznika, który jest, mówiąc nawiasem, typem-arcydziełem— bo ci, co z największą łatwością mogliby ją ratować radą lub wstawiennictwem, wolą się nie wtrącać dla własnego spokoju w chłopskie sprawy, lub żałują drobnej fatygi. Biedny chłop jest jak ryba, której brak ręki, żeby oderwać pijawkę, co się oka uczepiła.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Władysław Umiński.

Na szczytach.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

— Masz wyczerpane nerwy, jesteś nienaturalnie rozdrażniony i podniecony—rzekła nieśmiało—potrzebujesz...

Furini wybuchnął ironicznym śmiechem, który zmroził jej słowa na ustach.

— Ach tak, jestem nienormalny! — zaczął tym samym tonem—za mało bowiem jadam, a za dużo myślę, za mało próżnuję, nie mam różowych policzków i grubego karku, nie grywam w klubie, nie biorę udziału w wyścigach, nie poluję, nie znajduję przyjemności w odwiedzaniu salonów. Są to bardzo smutne objawy; zapewne każecie mi wyjechać na wieś po to, żeby się ich pozbyć—słowem, żeby zostać człowiekiem *normalnym*. Czy tak?

— Benedetto! — przerwała boleśnie młoda dziewczyna.

— Nie mówię tego do ciebie, ale pocóż powtarzasz bezmyślne zdania, wypowiadane o mnie przez znajomych, którzy, wiem o tem doskonale, poczytują mnie za maniaka, dlatego, że się nie zniżam do ich upodobań, że nie podzielam ich aspiracyi, że stąpam tam, gdzie oni dostają zawrotu głowy.

— Nie powtarzam niczyich słów — odparła Angela — mówię tylko to, co mi dyktuje współczucie i miłość dla ciebie, Benedetto. A ty...

— Uniosłem się—odparł pokornie Furini — przepraszam.

— Widzisz, niewdzięczniku! A więc posłuchaj rady, płynącej z serca. Jedź w góry, przyroda piękna ukoi cię, wrócisz odrodzony, a wtedy zabierzesz się na nowo do swych doświadczeń. Dobrze?

— Żądasz niepodobieństw, Angelo!—odparł młody uczony, potrząsając głową — zatrzymać się idąc pod górę, znaczy to samo, co narazić się na upadek, na roztrącenie o skały... Nie zapominaj, że świat jest olbrzymim warsztatem, tysiące głów i rąk pracuje bez przerwy na gruncie naukowym. Któż mnie zapewni, że jaki szczęśliwy współzawodnik nie natrafi na skarb, który mi się udało znaleźć, i nie wykuje go z opoki wprzód odemnie? Praca wre! Biada tym, co się nie spieszą!

— Ale zważ, mój Benedetto, że człowiek nie powinien się wyrzec świata i życia dla nauki, która jest tylko jego ozdobą, ale nigdy jedynym celem. Inni muszą ci przeszkodzić zabijać się pracą, skoro ty sam nie potrafisz się oszczędzać.

— Dlaczegóżby nie?—odparł Furini, podnosząc głowę—dlaczego nie poświęcić życia, jeśli to poświęcenie zapewnia szczęście. Ja potrzebuję pracy, to moja namiętność, Angelo! Ja kocham ten kąt, bo spędziłem w nim najpiękniejsze chwile.

Szerokim gestem rozłożył ramiona, jak gdyby pragnął przycisnąć do serca wszystkich swych towarzyszów, wszystkie kolby, retorty, aparaty, słoje, ustawione na zakurzonych półkach, a głos mu drżał i potężniał, w oczach zaświeciły iskry.

— Kochasz?..—powtórzyła Angela.

— O tak, kocham!.—mówił dalej.—O jakże marnem, jakże bezwartościowem, czczem byłoby życie moje bez tych walk, bez tych tryumfów, bez tych znojów. I jabym miał wyrzec się na długich sześć miesięcy tej pracy, stanąć w połowie drogi, zostać zawieszonym pomiędzy piekłem niepewności, a niebem, gdzie mi się uśmiecha wielki cel? Oh, Angelo, żądasz niepodobieństw!

Młoda dziewczyna słuchała tych słów ze wzrastającym niepokojem; tryskający z każdej sylaby zapał, przechodzący niemal w fanatyczny zachwyt, przestraszał ją. Uczuła się nagle bezsilną, bezbronną — zrozumiała całą znikomość argumentów, któremi zapragnęła zwalczyć tę namiętność. Benedetto pozostał głuchym na głos współczucia i rozumu, ale nie odepchnie uczucia.

— Nazywasz niepodobieństwem spełnienie mojej prośby? — rzekła — czyż nie liczysz się wcale ze mną, Benedetto? O patrz, twoja Angela błaga cię, zaklina po raz ostatni, na wszystko, co jest dla ciebie świętem — usłuchaj!..

Osunęła się na kolana z wyciągniętemi błagalnie rękami i czekała.

On jednak odepchnął ją zlekka.

— Co czynisz?! — zawołał, usiłując ją podnieść. — Po co to wszystko? Co za dziwny upór! Angelo, ja cię nie poznaję! Nie wierzę swoim uszom; więc i ty jesteś już przeciwko mnie?

— Nie, ja tylko proszę. Benedetto... odpowiedz, zgadzasz się uczynić to, czego dla ciebie pragnę?

— Nie mogę, wierz mi Angelo, nie mogę!

— To twoje ostatnie słowo?

— Najostatniejsze!

Nagle twarz Angeli zmieniła się; rysy skrzywiły się boleśnie, na jagody wystąpił rumieniec. Podniosła się szybko, i stała wyprostowana, milcząca. Tkliwa narzeczona znikła, a na jej miejscu znajdowała się teraz dumna, obrażona w swej godności, odepchnięta kobieta.

Benedetto odgadł instynktownie tę przemianę, chciał mówić, lecz ona zamknęła mu usta żywym gestem.

— Nie potrzebujesz łagodzić twej odpowiedzi—rzekła zimno — zrozumiałam ją aż nadto dobrze. Kochasz swoją naukę — nikogo więcej... wybrałeś pomiędzy mną a nią; nie pozostaje mi więc nic innego, jak oddalić się,

aby nie mącić twego nowego szczęścia... Żegnam cię, Benedetto!

Odwróciła się, chcąc wyjść. Furini rzucił się za nią.

— Angelo, co to wszystko znaczy? — zawołał, przykładając dłoń do czoła. — Dlaczego chcecie strącić mnie na niziny? Ja tego nie pojmuję!.. I ty także, ty? Oh, to okropne...

— Nie, chcemy cię mieć dla siebie—rzekła signorina Dolce, zatrzymując się.

— To potworne samolubstwo! Przecież mogę być sobą, nie przestając być twoim, Angelo?

— Łudzisz się, Benedetto.. Jesteśmy już daleko, bardzo daleko jedno od drugiego. Ale jeszcze czas—jeszcze wszystko da się naprawić. Namyśl się, wróć do nas—czekam...

Młoda kobieta znikła, pozostawiając Benedetta oszołomionego, usiłującego nadaremnie zdać sobie sprawę z tego, co słyszał przed chwilą. Rozumiał jedną rzecz tylko: żądano odeń, aby zerwał ze swoją ubóstwianą nauką, żeby się pozbył swej namiętności, którą się upajał, żeby zstąpił pomiędzy pospolitych ludzi, i gonił za pospolitemi uciechami. Wydało mu się to tak potwornem, tak głupiem, tak nizkiem, że padł ciężko na krzesło i wybuchnął długim, dziwnym śmiechem, który przeszedł w jęk bolesny...

IV.

Pierwsze gromy.

Po owych, tak dramatycznie zakończonych odwiedzinach, Angela wróciła do domu zgnębiona, blizka rozpaczy. Misya jej nietylko spełzła na niczem, ale jeszcze bardziej pogorszyła stan rzeczy.

Z początku signorina Dolce miała nadzieję, że Benedetto, rozważywszy jej słowa, zjawi się przed nią, aby załagodzić nieporozumienie, wyrównać przeciwieństwa, prosić przebaczenia...

Niestety, mijały dni, a młody uczony nie przychodził.

Nogari, wysłany przez Angelę dla zaciągnięcia o nim wiadomości, przekonał się, że jego przyjaciel niemniej cierpiał; pragnąc zaś zagłuszyć nurtujący go ból, ze zdwojoną energią wziął się do pracy.

Od paru tygodni nie opuszczał ani na krok laboratoryum, pomimo nalegań matki; w skórzanym fartuchu, w czarnych okularach, w kauczukowych rękawiczkach, stał przy retortach i kosztownych aparatach, pilnując przebiegu doświadczeń. Nie chciał wiedzieć o niczem, co wybiegało poza obręb zajmującej go kwestyi, nie przyjmował nikogo prócz Marca—słowem zerwał zupełnie ze światem, który był dlań obecnie tak dalekim i obcym, jak świat Marsa, Jowisza lub Neptuna.

Drzwi laboratoryum otwierały się raz na dzień, wczesnym rankiem i ukazywał się w nich Paolo z koszykiem w ręku. Wierny pomocnik Furiniego zakupywał w mieście warzywa, owoce, chleb i makaron, które następnie przyrządzał na gazowej kuchence w parownicach porcelanowych, zastępujących garnki. Było to całe pożywienie pana i sługi; obaj obchodzili się zupełnie bez mięsa, którego użycie, zdaniem Benedetta, nadawało przewagę ciału nad rozumem, i zaciemniało jasność myśli.

O postępie doświadczeń, o wrzącej wewnątrz laboratoryum tajemniczej pracy świadczyły tylko rozlegające się od czasu do czasu i wstrząsające jego ścianami wybuchy, podobne do wystrzałów, oraz oślepiające blaski, rozjaśniające w nocy dziennem światłem zakopcone i pokryte pajęczyną okna.

Zjawiska te rzucały trwogę na mieszkańców sąsiednich domostw i dawały powód do najdziwaczniejszych domysłów.

Ciemna ludność przedmieścia szeptała sobie najprzód do ucha, a następnie twierdziła głośno, że Furini zaprzedał duszę dyabłu, że znalazł sposób otrzymywania złota z ołowiu i praktykuje czarnoksięskie sztuki, czego dowodziły niezbicie owe huki i błyski, powtarzające się coraz częściej w pracowni. Omijano też starannie nizki budynek, ukryty wpośród drzew pomarańczowych i kasztanów, jeżeli zaś ktoś widział się zmuszonym przejść koło jego murów, to nigdy nie omieszkał uciec się do ochronnej potęgi amuletów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O umówionej godzinie.

Nad brzegiem rzeki, w drzew przychylnym cieniu —
Tam myśmy sobie przyrzekli spotkanie!
Gdy jasny księżyc na ciemnem sklepieniu
Zawiesi lampę swoją—i w otchłanie
Rzuci zadumę własną, i świat cały
Przedzierzgnie w jedną, srebrną tajemnicę..
Gdy cisza—nimfa przestrzeni—swe lice
Z drżeniem przytuli do nadbrzeżnej skały,
Gdy wietrzyk, wonią łąk oszołomiony,
Z włosem rozwianym padnie w snów objęcia,
A niebo srebrne przywdzieje zasłony,
A wody rzeki od świateł dotknięcia
Staną się same marzeniem o sobie,
Wtedy ty, dziewczę, w tej miłości dobie,
Ścieżką, co w dal się aż ku rzece winie,
Przyjdziesz, drżąc, do mnie, drogie dziewczę moje,
Niosąc snów róże i pieszczot powoje
O umówionej godzinie!

Nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje,
Że z tobą, śmierci, kochanko wzgardzona,
Niegdyś też taką zawarłem umowę!
Gdy jesień padnie na szumiące raje
Marzeń mych złotych, gdy duch we mnie skona,
A wiara w życie dłonie swe różowe
Wyciągnie w niebo, z prośbą o spoczynek,
Gdy mi za cały życia upominek
Będzie—liść zwiędły i pierś do dna pusta,
Wtedy ty, śmierci, cicha, bladousta,
Przybrana w dawnych natchnień moich wianki,
Nawpół podobna drogiej mej dziewczynie,
Niosąc mi w dłoni ukojenia leki
I naśladując słowność mej kochanki,
Przyjdziesz też do mnie, na brzeg życia rzeki
O umówionej godzinie!

Bolesław Leśmian.

Z jesiennych dum.

Na rozłożyste przy starym dworze topole spadły szpaków odlatujących gromady, i świergocą a gwarzą, aż głucho. Topole nagie prawie; gdzieniegdzie czepia ich się jeszcze pożółkły, uwiędły liść, strojny w smutną krasę jesieni. Na trawach lśnią się srebrne, zmarzłe rosy, błyszczą brylantem na wrzosach różowych, pyłem srebrnym migocą na zielonych skrzydełkach umarłej ważki, a błękit nieba taki blady, a powietrze takie czyste, niezmącone, zastygłe jakieś...

Ptaki, ptaszęta moje drobne, za chwilę zerwiecie się chmurą, i powietrzem tem chłodnem, cichem, bladem polecicie w dal wielką nieznaną, a tu jesień zostanie i chłód śmierci.

Tak, gdy przyjdzie czas, poczynają nad duszą ludzką krążyć marzeń młodzieńczych gromady, i chmurą cudną, barwno-złotą zrywają się nagle, i żegnają duszę, kolebkę swoją, w dal odpływając piękne, a smutne. A w duszy rozpiera się chłód zamierań powolnych, agonia blasków i wiar i sił—jesień ducha

Tak, gdy przyjdzie chwila przeznaczenia, zrywa się miłość-ptak, i ulata. I daremnie płacze po niej serce, i daremnie woła ją dawnem imieniem. Jesień jej przyszła, i *głosy* nieznane z przestworów dalszych, niż gwiazd złotych szlaki, wołają na nią pójdź — jak na was, śpiewacy wiosennych poranków! I kto potępi ją za to?.. Kto klątwę rzuci?..

I tak ucieka szczęście.

W chłodny poranek jesienny pryska stubarwna bańka mydlana, i rozsypuje się w pył, i ginie.

A człowiek napróżno wyciąga ramiona ku widmu, napróżno zaklina marę, by wróciła. Napróżno! Szczęście kędyś poszło górami, a człek sam został w dolinie. I odeszła z niem razem radość jasna, by innym zabłysnąć, odszedł śmiech, by dźwięczeć gdzieindziej, ostatnia odeszła pogoda.

Hej, szczęście, uciekasz ty od ludzi, i wtedy zostaje z nimi żałoba i niedola, uciekasz od grodów, i idą w perzynę, a król-smutek osiada na zgliszczach, i głosem szakala po ruinach wyje; uciekasz od krain, i wtedy chadza po nich wichr jęku, i na strunach wygrywa powietrznych.

Odlatujesz ty, jak ptak, ale jak ptak nie wracasz z nową wiosną. Hej szczęście!..

I tak, gdy kres nadejdzie, odpływają w dal dusze.

I napróżno woła na nie miłość — zostańcie! One odchodzą w krainę tajemniczą, smętną i daleką—odchodzą pełne lęku i drżenia. Napróżno goni je myśl serdeczna, i rozpaczy głosem woła: wróćcie się!

One uchodzą żałosne, smętne, ale wrócić nie mogą. Oglądają się poza siebie, i płaczą po życiu, po barwach ziemi i po blasku słońca. Przed niemi nieskończoności morze. I one lecą nad nie, rybitwy zbłąkane.

Ptaszęta drobne, wy, co lecicie w kraj ciepły, daleki, może wy jesteście duszami dziecjątek, którym śmiał się dom ojcowski i łąka

zielona i sen cichy na łonach matek. Może posnęłyście utulone kołysanką matczyną, a *głos* na was zawołał z oddali: pójdźcie! I z płaczem pożegnałyście kolebkę—dom wasz maleńki, i płyniecie przez nieskończoności czarne, straszne morze. Ale nim rzucicie brzeg zielony, siadłyście na topolach przydrożnych, i oglądacie się za domem ojców, za cichą strzechą, pod którą rozlega się płacz matek, i odwołuje was ku sobie. Duchy skrzydlate, może wy przypominacie sobie pierwsze dźwięki słów i pierwsze tony piosenek i pierwszy świt różowy i pierwsze gwiazdy bladej światełko, zaglądające do kołysek waszych.

Ptaszęta, wróćcie się do gniazd!

Daremno! Już rozwijają skrzydła, już chmurą gwarną zrywają się z drzew bezlistnych, i lecą powietrzem cichem, martwem, bladem, lecą coraz niklejsze, coraz przezroczystsze... już chwieją się w powietrzu błękitnem, jeszcze skrzydełek widać lekkie drżenie... Duchy skrzydlate!

Niema ich już—niema!

Pod stopą smutno szumi liść jesienny.

Helena Ceysinger.

Ze skarbnicy wiedzy.

Wiadomo, iż t. zw. szczepienie drzew i krzewów polega na tem, że się bierze dziczkę np. gruszę, i na nią przenosi pęd uszlachetnionej hodowlą gruszy. Dziczka dostarcza soku pędowi szlachetnemu, który się z nią zrasta, a jeśli oddalimy nieszczepione gałązki, to powstanie korona uszlachetniona.

Pomiędzy uszlachetnieniem przez szczepienie, albo oczkowanie, a pasożytnictwem, istnieje pewne podobieństwo. Należy tu jednak zrobić zastrzeżenie, iż nie wszystkie rośliny można w powyższy sposób łączyć pomiędzy sobą; szczepić się dają tylko rośliny należące do tego samego gatunku, czy odmiany, co przenoszony na nie pęd, czy oczko.

Najlepiej udaje się szczepienie w rodzinie Rosacae i w pokrewnych jej pestkowych roślinach. Róże, migdały, morele, śliwy, można dowolnie przenosić jedne na drugie, to samo jabłonie, grusze, pigwy, głogi; za bajkę atoli trzeba uważać mniemanie, jakoby brzoskwinia przyjmowała się na wierzbie, albo że syberyjska Pirus salicyfolia powstała wskutek połączenia gruszy z wierzbą.

Chociaż szczepienie jest znanem od wieków, to jednak nauka nie wyjaśniła dotąd, jakie rośliny można zespalać w jedną całość, i jakie zmiany powstają z biegiem czasu w rozwoju złączonych tak roślin.

H. Lindemuth, inspektor ogrodu botanicznego uniwersyteckiego w Berlinie czynił w tym kierunku ciekawe doświadczenia, które rzuciły pewne światło na tę ciemną kwestyę. Botanik ten utrzymuje, że nie wszystkie rośliny dają się przenosić jedne na drugie; o ile zaś jest to możliwem w obrębie jednej rodziny, doświadczenie dotąd nie wykazało.

Łatwość zrastania się dwóch roślin nie dowodzi jednak blizkiego ich powinowactwa wzajemnego, o którem wzmiankujemy na zasadzie podobieństwa zewnętrznego. Tak np. gruszka nie przyjmuje się na jabłoni, a za to zrasta się z takiemi roślinami napozór dalekiemi jak: Crataegus, Mespilus, Sorbus, Cydonia etc. Dowodzi to przedewszystkiem, że nasza klasyfikacya jest błędną, i że oprócz przyjmowanych przez botanikę pokrewieństw, istnieją inne jeszcze, całkiem nam nieznane powinowactwa.

Lindemuth słusznie się dziwi, dlaczego dotąd nie rozstrzygnięto ważnego pytania, jakie mianowicie gatunki pozwalają się łączyć i w jakim stopniu. Spytajcie najstarszego, najbardziej doświadczonego ogrodnika, czy jabłonie dają się szczepić na gruszach, głogu, pigwie albo jakie pomarańcze zrastają się z jabłonką i gruszką, a wprawimy go w najwyższy kłopot. Pomieszanie spotęguje się, skoro zagadniemy go o inne rodziny roślinne.

A jednak znane są już nader ciekawe doświadczenia w tym kierunku. Tak np. na słoneczniku Helianthus aureus zaszczepiono Helianthus multi-color, na kartoflu zwyczajnym (Solanum tuberosum), inną psiankowatą roślinę Solanum lycapersicum (pomidor).

W ostatnim wypadku otrzymano podwójny zbiór, w ziemi bowiem znajdowały się kartoflane kłęby, na łodygach zaś, równocześnie wyrosły pomidory.

Najciekawszemi jednak są doświadczenia przedsiębrane na wielu jednorocznych ziołach. Już dawniej udało się przenieść na kapustę włoską roślinę Arabis albida. Uszlachetniony egzemplarz wyglądał zdrowo, i szczęśliwie przetrwał zimę.

Przykład ten dowodzi, że można przenosić pędy na dość obce dla nich podłoża; rozwijają się, i rosną one przytem tak dobrze, jak na swych własnych łodygach i korzeniach.

Należy się spodziewać, że z czasem nauczymy się uszlachetniać i obracać na pożytek wiele jednorocznych roślin, o czem dotąd nikt nie pomyślał. Rezultatem podobnych doświadczeń był lak pachnący zaszczepiony na kapuście włoskiej (Bressica Sabauda).

Lak ożeniony z kapustą rozwinął się silnie, wypuszczając kilka pędów, z których najwyższy mierzył 50 ctm. wysokości, i zakwitnął w końcu obficie.

Rzecz szczególna, lak w miejscu złączenia go z kapustą wypuścił mnóstwo cienkich, jak włos, korzonków; korzonki takie mogą, zależnie od warunków, obumierać i później znów się ukazywać. Dowód to, że przeniesiona na obce podłoże roślina dąży do odzyskania samodzielnego bytu i pozbycia się cudzego wpływu. Spostrzeżenie to naprowadza na myśl, żeby rośliny źle rosnące ze zrazów, wsadzonych wprost do ziemi, najprzód uszlachetnić, szczepić, a skoro dostaną powietrznych korzonków, przenosić do ziemi.

Wspomniany wyżej lak łatwo stałby się samodzielną rośliną, gdyby go włożyć do ziemi wraz z miejscem złączenia z kapustą.

P. Lindemuth sądzi, że sposób taki pozwoli rozmnażać rośliny, trudno się zakorzeniające.

Do doświadczeń nadają się nietylko rośliny, ale i najdoskonalsza z istot—człowiek.

Prof. Mark Balduein przy pomocy specyalnych przyrządów przedsięwziął „mierzenie myśli.“ Połączył on dzwonek z zegarem w ten sposób, że ten zaczynał iść, skoro dzwonek się odezwał. Człowiek, z którym dokonywano doświadczenie, miał przycisnąć guzik i zatrzymać przez to zegar w chwili, gdy usłyszy dźwięk. Wskazówka mierzyła zatem czas ubiegający pomiędzy dostrzeżeniem odgłosu dzwonka, a przyciśnięciem guzika.

Otóż ten przeciąg czasu był bardzo różny nietylko względnie do rozmaitych osób, ale i do jednej i tej samej, a zależnym głównie od natężenia jej uwagi przy doświadczeniu.

Jeśli uwaga była skoncentrowana na dzwonku i naciskanie guzika odbywało się machinalnie, wtedy czas ów stawał się dłuższy; malał zaś, gdy człowiek zwracał głównie uwagę na palce i na guzik.

Na zasadzie tych spostrzeżeń, Balduein podzielił ludzi na trzy kategorye: na odbierających wrażenia za pośrednictwem t. zw. zmysłu mięśniowego, i na takich, którzy mają wrażenia wzrokowe i trzecich—słuchowe.

Osobniki należące do dwóch ostatnich kategoryi są żywego usposobienia, pierwsi zaś flegmatyczni.

Rozróżnienie to może mieć wielkie znaczenie pedagogiczne; wskazuje bowiem, jacy uczniowie powinni się znajdować razem, a jacy nie powinni.

Wogóle istnieje najwięcej ludzi, dających się zaliczyć do „mięśniowców,“ daleko zaś mniej do „wzrokowców“ i „słuchowców.“

Najbardziej ciekawymi jednak są doświadczenia odnoszące się do osłabnięcia wspomnień—pamięci. Proszą np. jakiejś osoby, ażeby powtórzyła to, co jej przed chwilą opowiedziano. Drugie doświadczenie polega na identyfikacyi, t. zw. na uznawaniu tożsamości danego przedmiotu z innym, z którym się przed chwilą miało do czynienia, trzeci wreszcie wybór polega na tem, żeby z pomiędzy pewnej liczby przedmiotów wybrać ten, który poznano przedtem.

Powyższe metody pozwoliły stwierdzić, że w pierwszym odstępie czasu, zawartym pomiędzy 1 a 10 minutami wspomnienie doznanego wrażenia słabnie bardzo szybko, w drugim od 10—20 minut pozostaje w mierze, w trzecim zaś po 40 minutach wogóle zaciera się całkowicie.

Ciekawymi są także rezultaty badań nad rozpoznawaniem różnicy temperatury. Doświadczenia czynione dowiodły, że posiadamy do tego niejako specyalny zmysł; w jednem miejscu, na ręce np. odczuwamy tylko ciepło, w innem zaś—tylko zimno. Należałoby więc powiedzieć, że mamy właściwie dwa zmysły—jeden do odczuwania ciepła, a drugi do zimna.

Jestto tem dziwniejsze, że w gruncie rzeczy istnieje tylko ciepło, podczas gdy zimno jest tylko pojęciem względnem.

W. U.

Sprawozdania literackie.

Cezary Jellenta: „Nurty.“

O dziwnym doprawdy utworze mówić zamierzam tym razem.

Tyle w nim dysonansów, tyle gwałtownych spadków i wzlotów, taka mięszanina sztuczności i olbrzymich błysków talentu, że aż wierzyć się nie chce, że te wiersze nudne i wymuszone—i te pełne siły, fantazyi, natchnienia wyszły wszystkie z pod jednego pióra, w jednym urodziły się mózgu.

„Nurty“ są, jak wskazuje tytuł, pierwszą częścią jakiejś większej całości, która nosi nazwę: „Ogniwa dramatyczne.“ Powiedzmy odrazu, że autor chciał ukazać nam prądy nurtujące w głębiach ludzkich duchów, chciał rzec nam coś o tem, czem będzie człowiek jutra, człowiek w obronie indywidualności swojej idący do boju ze wszystkiem, co indywidualność tę krępuje i obniża.

Bohaterem utworu jest poeta, Stefan. W nim to właśnie nurtuje owa przyszłość, walcząc z dniem teraźniejszym i echami przeszłości. Stefan jest męczennikiem i ofiarą tej walki, jest bojownikiem mężnym, jest pewnego rodzaju nadczłowiekiem.

Zastrzegamy się, że jestto pojmowanie autora—nie nasze.

W scenie pierwszej widzimy Stefana, wydającego sąd wyroczny o utworze młodej autorki, Deli. Pierwsze wrażenie, jakiego doznajemy, czytając tę scenę, to przykrość z powodu jakiegoś potwornie sztucznego tonu, w którym utrzymaną jest rozmowa tych dwojga ludzi. Bo posłuchajmy tylko:

„Pani, świat się kończy!—mówi wielki człowiek do swej wielbicielki, drżącej jeszcze z onieśmielenia. — Takie zbiegi wypadków przesądnym uczynią skrajnego niedowiarka; przed chwilą twierdziłem, że urąganiem tłumu nie trzeba się trwożyć. A tu sama Opatrzność zsyła mi dowody, których wymowa wszystko, com wyrzekł, prześciga.“

„Ośmielona wyznaniem, ciekawością pałam—odpowiada na to naiwnie pokorna słuchaczka, dając tem do zrozumienia, że nawet pałać ciekawością nie śmie, jeżeli jej do tego nadczłowiek nie upoważni.

Nie zniechęcony tą humorystyczną odpowiedzią poeta, oznajmia jej, że otrzymał od grupy pisarzów „głuchych dotąd na muzykę jutra“ pismo, w którem zapraszają go, by przybył do Zakopanego, gdyż tam zebrać się pragną w celu uczczenia go za jego „Symfonię chmur.“

Zaproszenie zredagowane jest w ten sposób, że człowiok nie podchmielony narkotykiem pychy mógłby się o nie obrazić—ale mniejsza o to.

Na wiadomość tę Dela mówi modlitewnie: „Więc Zakopane będzie miało szczęście ujrzeć?..“ a gdy poeta raczy to łaskawie potwierdzić, cedzi znów: „Doprawdy, dzień ten dla mnie pełen niespodzianek, bo i ja się wybieram na lato pod Giewont.“

Dla nerwowego czytelnika jestto wprost nieznośne.

Gdyby ktoś chciał zabawić się w humorystykę i przedstawić przesadną starą pannę, wywracającą oczy do wielkiego człowieka, mógłby z powodzeniem użyć tych samych słów. A przecież Dela ma być gorącą, szczerą, bogatą naturą, pełną entuzyazmu i warów krwi. Tak nie mówią natury szczere i bogate.

Czytelnik wrażliwy odczuwa w tem miejscu fałsz nieznośny. Bo i co zręczniejszego mogłoby się nasunąć jakiemuś kuryerkowemu korespondentowi, zamiast wyrazu Zakopane, nad owo banalne „pod Giewont“?!

Po scenie z Delą następuje scena z żoną. Irena ma być uosobieniem płaskości tej, która nienawidzi wszystkiego, co wybiega w chmury; ona nienawidzi Stefana za jego wyższość, za talent, za sławę; pragnęłaby widzieć go niewolnikiem obowiązku domowego, równym sobie. Do wściekłości doprowadzają ją orle jego loty i jego duma. „Ja tej żarłocznej dumy pastwą być nie mogę“ woła.

Jest w tem dużo prawdy życia, choć natężenie za wielkie. Niechęć kwaśna i zazdrosna, ale nie nienawiść bywa zwykle następstwem takiego stosunku.

Obowiązek surowy, poważny, ogólniej pojęty uosabia Andrzej, brat Ireny, suchy doktryner, który pragnąłby spalić wszystkie wiersze Stefana, by tym sposobem przytrzeć rogów pysze jego i egoizmowi. Cała ta scena rodzinna wynikła z okoliczności zamierzonego wyjazdu poety do Zakopanego. Małej córeczce Stefana nie radził lekarz wyjeżdżać w góry, ale poeta pragnie zabrać ją ze sobą, bo obecność dziecka jest osłodą jego życia, a nie wyrzeknie się też za nic upojeń sławy, które czekają nań w Kuźnickiej dolinie.

W akcie drugim widzimy poetę na wycieczce w Tatrach. Tym razem przedstawia się jako skończony nerwowiec, którego znużenie i widok dzikiej przyrody przyprawiają o atak histeryczny.

A dalej następuje rozdział miłości, naturalnie z—Delą. Dela tym razem jest już mniej wymanierowaną, choć jeszcze trafiają się jej frazesy w rodzaju: „O! nie chciej mi przeczyć!“

Któż kiedy używał podobnego zwrotu z wyjątkiem rymotwórcy, któremu brakło jednej czy dwóch sylab?

Dziewczyna opiera się miłości Stefana, bo czuje, że miłość takiego człowieka to uragan niszczący. Ona wie, że niedługo stać się musi dla niego „jak ograny nokturn,“ i przeczuwa, że on zabije jej duszę, że ona będzie na łasce jego spojrzenia, „jako słaba igiełka na łasce magnesu.“ Ale naturalnie nadczłowiek zwycięża, i wszystko idzie tak, jak przeczuwała Dela.

Akt czwarty rozgrywa się na obczyznie, w wielkiej stolicy.

Poeta znużony nadmiarem wrażeń i samoudręczeń, na szały swoje, na straszną rozterkę ducha nie znalazł leków w krynicach wiedzy, nie pomogła mu hypnoza—przed samym sobą zdaje się uciekać w świat. Dąży za nim Bielski, ojciec porzuconej Deli, która tymczasem więdnie, zapada w melancholię, ginie. Ale na to wszystko niema rady. Stefan gotów wrócić do domu, jeśli to ma ocalić Delę, ale „wiedz—mówi do jej ojca—że to sobowtór wróci dawnego Stefana, jego mizerna kopia bezduszna, bezkrwawa, zawada, nie ozdoba ludziom.“

„Więc ktoś ty nieszczęsny, że każesz innym cierpieć, gdy mógłbyś radować, i sam przerażasz larwą potępieńca?—pyta Bielski.

Odpowiedź Stefana mglista jest wielce:

„Jam pyłek duszy świata, oderwany od niej, gdy w wirze swym pędziła w niebo ideału, wyrzucony w samotną jazdę po przestworzu; jam skra sieroca czucia, co przenika ludzkość, jam meteor ogniowy, którego moc żadna już z globem macierzystym połączyć nie zdoła, a żadna obca sfera przytulić nie umie... jam zwiastun śmierci ducha i pierwsza jej drgawka! Wnet inne się oderwą dusz aerolity, i stargawszy wiązadła współwoli, współmyśli—rozpoczną swą samotną, startą na atomy tułaczkę po bezmiarach, by dogorzeć w męce łaknienia stopu, zrostu dusz, dwu-świadomości.“

Zatem to nie on chory, nie on obłąkany, nie on występny—to dusza świata.

Wyczerpawszy wszystko, co życie dać może wrażeń i odurzeń, udaje się Stefan do klubu haszyszu, by egzotyczną trucizną podniecić obumarłą wyobraźnię. I teraz wkraczamy w dziedzinę prawdziwej poezyi.

Chory i strasznym odwarem otumaniony mózg poety wysnuwa coraz nowe i cudne widzenia. Autor kilka razy potrącił tu tak silnie struny serca, że trudno poznać w nim znanego Jellentę.

Oto najpierw na tle piasków egipskich, ruin świątyń, piramid, w mgle porannej jawi się bogini Izys i zapytuje pielgrzyma z północy, po co przybył, czy tajemnice badać dawnych magów, czy świt nauk i sztuk? Poeta odpowiada, że przeszłość jest dlań obojętną, że „lotu swego on nie kieruje wstecz“ i „potom ducha z ludzkiej wyrwał niwy, że ludzkość jest dziś, jak stępiony miecz, co zamiast ciąć, w rdzy tarza się leniwy.“ Wojowniczy temperament Jellenty ujawnia się w tych słowach cały. Poeta zaklina dalej boginię:

„Każ deszczem łez zatopić ludzkich powiek suszę, tchnij ducha w serc krwawniki i asbesty łon! Niech tylko duchem żyją, i w duchu niech się pławią, i duchem się radują, i ducha tylko sławią.“ Ale w tej chwili Izys przybiera twarz Deli, i kończy zań: „i ducha swego trują, i ducha innych krwawią.“

Po chwili widmo Deli *zwielokrotnia* się, jak powiada autor, w postacie nimf, rusałek goplanych, które żalą się, że ludzie dziś nie chcą, i nie umieją kochać. Więc one żar swoich dusz poniosły na dno Gopła, pod zielone liście nenufarów i tam tęsknią za miłością: „od jeziornych fal, sitowianych hal, my do ciebie wieszczu przynosim nasz żal.“ Ale Stefan wie, że nie posiada takiej potęgi, którą mógłby wskrzesić miłość zamarłą w sercach ludzi. A i inne już porywają go widzenia. Słychać tętent rumaków, jakby w ziemię biły „milionów kopyt w rozszalałym pędzie.“ Ukazują się rycerze: „orężni to święci, u ramion skrzydła im wieją pozłotne, orłowie, w jedno z człowiekiem zrośnięci, z końmi w centaury lotne.“ Poeta zrywa się, wybiega przeciw nim, i pyta, dokąd niosą miecze swe? a hufiec ów odpowiada:

Mkniemy oddawna, w kurzawy tumanie,
Blednącej gwieździe swych przeznaczeń wierni,
A ty z pogoni wyrwałeś nas panie,
My—towarzysze pancerni.

Jest coś przeraźliwie smutnego w tej wizyi, jawiącej się — gdzie? na bruku dalekiej, rozpustnej stolicy, w przybytku haszyszowych upojeń! Jest potężny czar w tym pomyśle, i zdawaćby się mogło, że takie widzenie uzdrowić musi nawet bardzo chorą duszę. Ale nie bezkarnie łyka się wszystkich trucizn jady, i przepala ducha pychy pożarem! Widmom rycerzy odpowiada Stefan narzekaniem tylko na gnuśność wieku swojego.

Jeźdźcy znikają; w promieniach wschodu z koroną złotą na głowie staje przed nim olbrzymie widmo Króla Ducha i przemawia słowami twórcy swego.

Wszystkie widma zwracają się do poety z wyrzutami i żalem.

„Azalim Bóg? — pyta on — że mi, o widma blade, złorzeczycie?“

Duchy żądają od niego, który dzierży potęgę twórczą, by dał im żyć w pieśni.

„Tyś bóg wszechmocny, więc dźwignij z niemocy. Nalej nam w żyły świeżej krwi— niech płoną!“

„Skąd wezmę, bracia?“ — odpowiada poeta ze smutkiem.

Kobiety w żałobie, męczennicy z krzyżem w ręku, wszystkie widma poprzednie fantastycznym korowodem otaczają poetę. Na zakończenie widzi on *siebie*, i ku temu widmu rzuca się z wściekłością, by je unicestwić, by razem z niem runąć w grób czarny.

Z otchłani szaleństwa wyprowadza go bajadera. Zaniepokojona konwulsyjnemi rzutami gościa, budzi go z haszyszowego snu.

Akt piąty rozgrywa się gdzieś w mieście kuracyjnem na Pomorzu, a następnie w Warszawie, i nie czyni już takiego wrażenia jak poprzedni. Stefanowi rozstrojonemu i zawsze blizkiemu szaleństwa, po awanturniczych wycieczkach po świecie, świta kaprys czy zachcenie powrotu do domu, uściskania swojej dzieciny. Wraca, i dowiaduje się na wstępie, że maleństwo nie żyje. W porywie rozpaczy chwyta za broń, by skończyć raz mękę bytu. Ale kula przeszła mimo serca. Stefan żyć będzie, i autor pokaże nam go zapewne w dalszych częściach swego dzieła.

„Nurty“ kończą się aforyzmem Andrzeja, mającym charakteryzować epokę dzisiejszą, i być wróżbą przyszłości: „Świat może stygnie—człowiek jednak ogniem wzbiera, a duch ludzki dopiero dramat swój zaczyna...“

Jak widzimy, „Nurty“ nie są utworem doskonale harmonijnym. Są tu miejsca wspaniałe, są rzeczy zupełnie nudne i sztuczne. Ale nad całością unosi się tchnienie walki: tu krew tętni, tu jest jakaś siła—życia czy zniszczenia—dziś powiedzieć jeszcze trudno; jest bogactwo fantazyi i zdrój poezyi żywej. Jednem słowem jestto utwór, którego pominąć milczeniem—niepodobna.

H. C.

A. S.

KLĄTWA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Dalszy ciąg).

— Przeczuwam tu całą seryę uprzedzeń na dnie tej sprawy. Mieliście swoją wielkość parafialną, w którą wpatrywaliście się niby w słońce i stanęliście w sądach swoich o niej na tym gruncie, że wszystko, co ta wielkość spełniła choćby ujemnego, musiało koniecznie mieć jakieś niezwykłych rozmiarów pobudki, jakieś wielkie sprężyny — względy niesłychanie wysokiego porządku... Przekonany jestem, że ten, kto wie wszystko, ale wie naprawdę— nie z domysłów albo plotek—że taki rozśmiałby się szczerze z tego wydymania zwyczajnej zupełnie sprawy miłosnej, do której klucz znalazłby się w pierwszej lepszej z tak zwanych powieści psychologicznych, szwankujących, mówiąc nawiasem, w większej części na brak wszelkiej podstawy naukowej

— Czy i radcę zaliczasz pan do tej liczby? bo on przecież wie wszystko.

— Przedewszystkiem radcę. On i wogóle ludzie jego wieku, wybacz mi pan to, popełniają w sądach swoich cały szereg pomyłek przez to jedynie, że działaczom epoki minionej nadają kształty nieledwie olbrzymów, a ich sprawom znaczenie, którego nie miały, bo mieć nie mogły. Wierz mi pan, wszystko jest bardziej codzienne i przeciętne, niż się wam wydawało. Wiele to tych złudzeń co do osób i faktów rozwiało się w pokoleniu obecnem! Mogę się zgodzić na to, że wam nie zbywało na entuzyazmie, i jeśli entuzyazm przyjmujecie jako znamię pewnej wyższości, to się przewagą nad człowiekiem dzisiejszym nacieszyć możecie dowoli — co do nas, przyznajemy się do trzeźwości sądu, do trzymania się gruntu pozytywnego, a że...

— A że brak wam skali porównania dla tamtych faktów i ludzi, których już niema, przeto najprościej załatwiacie się z jednymi i drugimi, raz na zawsze powiedziawszy sobie: ani trochę nie byli odmienni od tych, którzy żyją dziś—ani trochę nie żyło się inaczej, niż żyje obecnie. Czy nie przypuszczasz pan, że jednak takie postawienie kwestyi może mieć swoje strony słabe?“

Rozeszli się mocno z siebie niezadowoleni po tej pierwszej rozmowie, a jedynem praktycznem następstwem takiej wymiany myśli było, że w przekonaniu d-ra Wernera cały Młodziński zmalał sobie do rozmiarów minimalnych jako zagadka, a tajemnicza niby jego przeszłość przedstawiała mu się teraz jako czyste uwidzenie kilku ludzi, którym brak było poprostu metody do grupowania podobnych objawów, a następnie ułożenia ich w pewną całość.

ROZDZIAŁ III.

Pora letnia przechylała się ku jesieni. Po trzykwartałowym blizko pobycie d-ra Wernera w Czarnobrzegu nastąpiło nieuniknione oswojenie się jego ze wszystkiem, co w tej mieścinie składało byt powszedni lekarza. I ludzie miejscowi, i warunki pracy, i widoki przyszłości—wszystko to razem wzięte wydawało się już dzisiaj czemś oddawna znanem, nie budzącem ani uczucia niechęci, ani zainteresowania żywszego. Wśród tego i sylwetka cmentarna Młodzińskiego straciła na tym nawet posępnym kolorycie, który jej zrazu nadały opowieści radcy i Strejcha. Zgliszcza i popioły mają swoją grozę i powagę, ale przez niewielką tylko ilość dni po katastrofie, która je stworzyła; przechodząc mimo nich codziennie pod wpływem wszelkiego rodzaju myśli, między któremi są oczywiście i myśli nizkiego nastroju, uczuwamy powoli, jak wulgaryzuje się ów tragizm, który wiał od nich w początku samym.

Niekiedy przypomniał się Młodziński uwadze Wernera jakiemś jednem słowem, wyrzeczonem w rozmowie — słowem, które później szło za młodym człowiekiem wszędzie, gdziekolwiek się obrócił, i brzmiało mu pod czaszką nietylko intonacyą odmienną, ale i jakąś zagadkową treścią swoją, której odpędzić od siebie nie umiał. Wtedy znużony i zniechęcony tem, co u siebie nadwrażliwością nazywał, składał to niedające się usprawiedliwić przejęcie własne na suggestyę myślową, którą mu ludzie jego chłodną refleksyę starali się zamącić, przywiązywaniem niezmiernej wagi do wszystkiego, co wychodziło od Młodzińskiego. A mimo tego wrażenie pozostawało, umysł ulegał mu przez czas długi, pomimo że wyrazy te wymawiał on sam albo od ludzi je słyszał niejednokrotnie, w tym nawet duchu i rozumieniu wypowiadane. Jaki bo on szczególny wydał się Wernerowi, gdy go do takiego uniesienia doprowadziła najzwyczajniejsza naprzykład uwaga, z jaką on Werner, mówiąc o jednej ze swoich pacyentek razu pewnego wystąpił. Oczywiście racyi nie miał, ale zkąd ta namiętność? — zkąd uniesienie takie, na zrobioną uwagę, że polepszenie stanu chorej, właściwie jest już dzisiaj od niej tylko samej zależne. Jak jego oburzało to, że Werner przypuszcza cień tej władzy duszy, którą, mówiąc słowami jego, motłoch ciemny wolną wolą nazywa. On protestuje nawet przeciw pojęciu tego, co nauka rozumie przez termin: choroby woli—nie rozumie i nie chce rozumieć, a to z racyi, że nie może być cierpienia tam, gdzie niema przedmiotu, któryby mógł szwankować lub cierpieć.

Z początku sądził Werner, że to będzie sprzeczka o wyrazy—że w gruncie zgadzają się na zasadę samą, boć niema tu dla ludzi nauki sprzecznych zdań — gdzie tam! Ten człowiek posuwa bezwłasnowolność jednostki ludzkiej do jakiegoś absurdu niemożebnego, a wkłada w to swoje pojęcie tyle namiętności, i tyle goryczy zarazem, że doprawdy niewiedzieć jakie wnioski mógłby z tego wysnuwać ktoś, coby go widział po raz pierwszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Nowa świątynia.

Od komitetu budowy kościoła pod wezwaniem Zbawiciela otrzymaliśmy pismo następującej treści:

„Komitet budowy nowego Kościoła przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, przystępując do zbierania składek, tuszy sobie, że Szanowna Redakcya zechce łaskawie poprzeć starania komitetu i przyczyni się do wzniesienia świątyni, otwierając stosowną rubrykę ofiar w swojem poczytnem piśmie, i zajmując się zbieraniem składek."

Za komitet podpisani: ks. Siemiec i Henryk Dziewulski.

Istotnie, w okolicach ul. Marszałkowskiej oddawna dawał się uczuwać brak przybytku, w którymby pobożni mieszkańcy Warszawy mogli myśli swe i uczucia wznosić ku Stwórcy wszechrzeczy i Sędziemu spraw ludzkich.

Przepełnione w każdą Niedzielę kościoły świadczą, że za mało myślimy o potrzebach duchowych coraz to wzrastającej liczebnie ludności warszawskiej.

To też ze szczerem zadowoleniem witamy wiadomość o budowie nowej świątyni, i przekonani, że czytelnicy nasi solidaryzują się z nami w tem uczuciu, otwieramy rubrykę ofiar.

Towarzystwa zaliczkowo-wkładowe.

„Wiek" rzuca projekt związku Towarzystw zaliczkowo-wkładowych, których obecnie posiadamy już wiele. Za wyjątkiem grójeckiego towarzystwa, założonego w roku 1872, i wiśnickiego, założonego w rok później, są to instytucye przeważnie młode, które bez poparcia i umiejętnego kierownictwa mogą wieść zaledwie mierny żywot, a nawet przestać istnieć, jak to miało miejsce z towarzystwem zaliczkowo-wkładowem w Kutnie. Małe środki materyalne i słabe strony organizacyi i zarządu tych towarzystw nie pozwalają im rozwinąć się należycie. Jedynie mogłoby zaradzić złemu utworzenie „Związku Towarzystw zaliczkowo-wkładowych w Królestwie Polskiem" na wzór istniejącego w Niemczech. Związek ten polegałby na udzielaniu sobie wzajemnej pomocy przez utrzymywanie stałych ze sobą stosunków przez Towarzystwa, a także na jednolitej i wzajemnej działalności skierowanej ku najbardziej odpowiedniemu celowi. Głównem zadaniem związku, zdaniem projektodawcy, powinno być: 1) ogólne porozumiewanie się związkowych we wszystkich sprawach, dotyczących administracyi i organizacyi towarzystw; 2) wytworzenie instytucyi wspólnej kontroli i rewizyi; 3) wzajemne pośrednictwo i pomoc w sprawach kredytowych i zapewnieniu Towarzystwom związkowym potrzebnych im kapitałów obrotowych i 4) popieranie i zakładanie nowych towarzystw zaliczkowo-wkładowych w miejscowościach, instytucyi tych pozbawionych. Obowiązek utworzenia związku, zdaniem projektodawcy, leży na warszawskiem oszczędnościowo-pożyczkowem Towarzystwie, jako najbardziej solidnem i posiadającem najodpowiedniejszych przedstawicieli.

Wskazówki i rady.

Najnowszy sposób zaprawiania posadzki bez froterowania.

Gdzie jest mało służby, co przy dzisiejszych warunkach ekonomicznych jest konieczne, froterowanie jest rzeczą zbytkową, bo zajmuje za wiele czasu, a czas to pieniądz. Otóż podaję doskonały i wypróbowany przezemnie nowy sposób zaprawiania posadzki. Pół funta żółtego wosku zeskrobać jak najcieniej i nalać czterema funtami benzyny, stawiając w zwykłej pokojowej temperaturze. Za godzinę wosk bez ognia rozpuści się zupełnie i wtedy wziąść kawał starej waty, owinąć ją w gałgan i tym kłębkiem, maczając go w masie, smarować posadzkę raz przy razie. Posmarowawszy dwa łokcie kwadratowe, wycierać zaraz grubemi płatami sukiennemi, używanemi zwykle po froterowaniu do podłogi. Postępować dalej tym sposobem z całym pokojem, ciągle mocno masę płatami wcierając. Ilość ta wystarcza na duży salon, lub na dwa nawet o dwóch oknach pokoje. Podłoga po umyciu powinna być dobrze sucha; jeżeliby się okazała za jasna, można w parę tygodni powtórzyć tę manipulacyę. Próbowałam robić to i na dawno zaprawioną posadzkę, którą kazałam tylko mokrą ścierką wytrzeć z kurzu i też się okazał sposób wybornym. Zamiatając codziennie, powinna służąca mieć płaty pod nogami, aby posadzka zachowała glans. Koszt wynosi mniej więcej 60 kop. Proszę spróbować i... dziękować mi.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Сентября 1900 г. Redaktor **Jan Skiwski.** **DODATEK.**
Wydawnictwo i druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno Wydawniczego.